

WSIEWOŁOD GARSZYN

CZERWONY KWIAT



I

W imieniu jego cesarskiej mości, imperatora Piotra Pierwszego, zarządzam rewizję tego domu wariatów!

Słowa te wypowiedziane zostały mocnym, ostrym i dźwięcznym głosem. Pisarz szpitalny, notujący personalia chorego w wielkiej postrzępionej księdze na stole pozalewanym atramentem, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Ale dwaj młodzi konwojenci, towarzyszący choremu, wcale się nie śmieli: ledwo trzymali się na nogach po dwóch bezsennych nocach spędzonych z obłąkanym, którego dopiero co przywieźli koleją. Na przedostatniej stacji wzmożyły się ataki furii: zdobyto gdzieś kaftan bezpieczeństwa i przy pomocy konduktorów i żandarma włożono go choremu. Tak przywieźli go do miasta, a później sprowadzili do szpitala.

Wyglądał okropnie. Na podarte w strzępy w czasie ataku szare ubranie nałożono mu obcisłą kurtkę z grubego płótna żaglowego, głęboko wyciętą przy szyi: długie rękawy przyciskały mu na krzyż ręce do piersi i związane były z tyłu. Zaognione, szeroko otwarte oczy (chory nie spał już dziesięć nocy) pały gorącym, nieruchomym blaskiem: dolna warga nerwowo drgała: zmierzwiłone kędziory opadały w nieładzie na czoło; szybkimi, ciężkimi krokami przemierzał kancelarię wzdłuż i wszerz, oglądając badawczo stare szafy zavalone papierzyskami, obite ceratą krzesła i rzucając z rzadka spojrzenia na swych towarzyszy.

- Odprawiajcie go do oddziału. Na prawo.

- Wiem, wiem. Byłem tu już u was w zeszłym roku. Oglądaliśmy szpital. Wiem wszystko i oszukać mnie będzie bardzo trudno — rzekł chory.

Odwrócił się w stronę drzwi. Posługacz otworzył je przed nim: tym samym szybkim, ciężkim i zdecydowanym krokiem, z wysoko podniesioną obłąkaną głową wyszedł z kancelarii i niemal biegiem skręcił na prawo, do oddziału dla umysłowo chorych. Konwojenci ledwo za nim nadążali.

- Zadzwoń. Ja nie mogę. Związaliście mi ręce.

Odźwierny otworzył drzwi i podróżni weszli do szpitala.

Był to wielki murowany budynek utrzymany w starodawnym urzędowym stylu. Na parterze mieściły się dwie duże sale, jedna - jadalnia, druga - stanowiąca ogólne pomieszczenie dla spokojnych chorych, następnie szeroki korytarz, zakończony oszklonymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu z dużym klombem, oraz ze dwadzieścia osobnych pokojów, w których mieszkali chorzy; znajdowały się tu również dwa ciemne pokoje, jeden - obity materacami, drugi - deskami, w których zamykano furiatów, oraz łazienka - wielkie, ponure pomieszczenie o sklepionym suficie. Piętro zajmowały kobiety. Dochodził stamtąd nieustanny hałas, przerywany wyciem i lamentami Szpital zbudowano na osiemdziesiąt osób, ale że obsługiwać musiał kilka okolicznych guberni, mieściło się w nim do trzystu chorych. W niewielkich pokojach stało po cztery i pięć łóżek: zimą, kiedy chorych nie wypuszczano do ogrodu i wszystkie okna opatrzone żelaznymi kratami były szczelnie zamknięte, w szpitalu robiło się duszno nie do zniesienia.

Nowego chorego przyprowadzono do łazienki. Nawet na zdrowym człowieku mogła ona wywrzeć ciężkie i ponure wrażenie, na podnieconą zaś chorobliwie wyobraźnię musiała oddziaływać jeszcze bardziej przygnębiająco. Był to duży sklepiony pokój o lepiałej się kamiennej posadzce, oświetlony przez jedno tylko narożne okno: ściany i sklepienie wymalowano ciemnoczerwoną farbą olejną. W szerniałej od brudu posadzce, na równym z nią poziomie, umieszczone były dwie kamienne wanny, niby dwa owalne doły wypełnione wodą. Ogromny

miedziany piec z cylindrycznym kotłem do nagrzewania wody i całym systemem mosiężnych rurek i kurków zajmował kąt naprzeciwko okna. Chorobliwie podnieconemu umysłowi pacjenta wszystko tu wydawało się posępne i fantastyczne, zarządzający zaś łazienką posługacz, tęgi, zawsze milczący Ukraińiec, swą ponurą fizjonomią potęgował jeszcze to wrażenie.

Kiedy chorego wprowadzono do tego strasznego pokoju, aby wykąpać go i zgodnie z uznaną przez naczelnego lekarza metodą leczenia przyłożyć mu na tył głowy plaster z muchy hiszpańskiej, ogarnęło go przerażenie i wściekłość. Niedorzeczne myśli, jedna potworniejsza od drugiej, zakotłowały w jego głowie. Co to? Inkwizycja? Tajemne miejsce kaźni, gdzie jego wrogowie postanowili z nim skończyć? A może samo piekło? Przyszło mu wreszcie do głowy, że to jakaś próba. Rozebrano go, mimo rozpaczliwego oporu. Ze zdwojoną na skutek choroby siłą łatwo wydzierał się z rąk kilku posługaczy, którzy padali na posadzkę: wreszcie czterech ludzi obaliło go i pochwywszy za ręce i za nogi zanurzyło w ciepłej wodzie. Wydała mu się wrzątkiem i w szaleńczej głowie zabłysła przelotna myśl o próbie wrzątku i rozżarzonego żelaza. Zachłystując się wodą i kurczowo wywijając rękami i nogami, za które go trzymali posługacze, zaczął krztusząc się wygłaszać bezładne przemówienie, o którym trudno mieć jakiegokolwiek pojęcie, jeśli się go samemu nie słyszało. Były tu i modlitwy, i przekleństwa. Chory krzyczał, dopóki nie utracił resztki sił, aż wreszcie, oblewając się gorącymi łzami, wyrzekł cichym głosem zdanie, które nie miało żadnego związku z tym co mówił poprzednio:

- Święty Jerzy męczenniku! W ręce twoje oddaję ciało swoje. Ale ducha - nie, przynigdy!...

Posługacze wciąż go jeszcze trzymali, choć był już spokojny. Ciepła kąpiel i pęcherz z lodem położony na głowę zrobiły swoje. Kiedy go jednak na wpeł nieprzytomnego wyciągnięto z wody i posadzono na stołku, aby przyłożyć plaster, resztką sił i obłąkańcze myśli doprowadziły znowu do wybuchu.

- Za co? Za co? - krzyczał. - Nikomu nie chciałem zrobić nic złego. Za co mnie zabijacie? O-o-o! O, Boże! O, moi poprzednicy w męce! Błagam was, wybawcie...

Ostry ból z tyłu głowy zmusił go do rozpaczliwego oporu. Służba nie mogła sobie z nim poradzić i nie wiedziała, co począć.

— Trudno — rzekł żołnierz dokonywający tej operacji. - Trzeba zetrzeć.

Te proste słowa przejęły chorego dreszczem. „Zetrzeć!... Co zetrzeć? Kogo zetrzeć? Mnie!” - pomyślał i w śmiertelnym strachu przymknął oczy. Żołnierz ujął za dwa końce grubego ręcznika i, mocno naciskając, szybkim ruchem przesunął go powyżej karku chorego, zdzierając wraz z plastrem górny płat skóry i zostawiając na niej obnażony ślad. Ból doznany przy tej operacji, którego nie zniosłby łatwo nawet spokojny i zdrowy człowiek, wydawał się choremu szczytem wszystkiego. Szarpnął rozpaczliwie całym ciałem, wydarł się z rąk posługaczy i nagie jego ciało potoczyło się po kamiennych płytach. Przekonany był, że mu odrąbano głowę. Chciał krzyknąć, ale nie mógł. Przeniesiono go w stanie nieprzytomnym na łóżko. Wkrótce zapadł w głęboki, twardy i długi sen.

II

Ocknął się wśród nocy. Dokoła panowała cisza: z sąsiedniej sali dochodziły oddechy śpiących. Gdzieś w oddali dziwnym, monotonnym głosem mówił do siebie chory, zamknięty na noc w ciemnicy, a na piętrze, w oddziale kobiecym, niski ochrypły głos śpiewał jakąś dziką pieśń. Chory wsłuchiwał się w te dźwięki. Czuł ogromne osłabienie i bezwład we wszystkich członkach: bardzo go bolała szyja.

Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje? - pomyślał. I naraz z niezwykłą jasnością umysłu

ogarnął dzieje ostatniego miesiąca i pojął, że jest chory i na co jest chory. Przypomniał mu się szereg niedorzecznych myśli, słów i uczynków. Dreszcz przejął całą jego istotę.

- Ale to już skończone, dzięki Bogu, skończone! - szepnął i znowu usnął.

Otwarte okno osłonięte kratą wychodziło na mały zaułek pomiędzy murowanym ogrodzeniem a wielkim gmachem szpitalnym: do zaułka tego nikt nie zaglądał i cała jego przestrzeń gęsto zarosła jakąś dziko wybujałą krzewiną i bzem, pięknie rozwiniętym o tej porze roku... Za krzakami, na wprost okna, czerniał wysoki mur: wyglądały zza niego, całe w blaskach księżycowej poświaty, wierzchołki wysokich drzew dużego ogrodu. Z prawej strony wznosił się jasny budynek szpitala z oświetlonymi od wewnątrz, okratowanymi oknami: z lewej - połyskująca jaskrawą bielą księżycy ślepa ściana kostnicy. Blask księżycy wpadał do pokoju przez kratę okienną, kładł się na podłodze, oświetlał część łóżka, zmęczoną, bladą twarz chorego, jego przymknięte powieki: nie było na niej teraz śladów obłąkania. Spał głębokim, ciężkim snem zmęczonego człowieka, bez marzeń sennych, bez najmniejszego ruchu, bez oddechu niemal. Na kilka chwil obudził się w pełni świadomości, jak gdyby był zupełnie zdrow, ażeby z rana wstać z łóżka znowu dawnym szaleńcem.

III

- Jak się pan czuje? - spytał go nazajutrz lekarz.

Chory obudził się przed chwilą i leżał jeszcze pod kołdrą.

- Doskonale! - odrzekł wyskakując z łóżka i wkładając pantofle i szlafrok. - Wspaniale!

Tylko to jedno: widzi pan!

Wskazał na swój kark.

- Nie mogę obrócić szyi bez bólu. Ale to nic. Ze wszystkim można się pogodzić, jeżeli się to rozumie, a ja rozumiem.

- Czy pan wie, gdzie się pan znajduje?

- Oczywiście, doktorze! Jestem w domu wariatów. Ale jeżeli się to rozumie, człowiekowi jest wszystko jedno. Absolutnie wszystko jedno.

Lekarz patrzył nań uważnie. Jego ładna, wypielęgnowana twarz o wspaniale rozczesanej złocistej brodzie i spokojnych niebieskich oczach, spoglądających przez okulary w złotej oprawie, była nieruchoma i nieprzenikliwa. Lekarz obserwował.

- Czemu mi się pan tak badawczo przygląda? Pan nie wyczyta, co się dzieje w mojej duszy - ciągnął dalej chory - a ja widzę wyraźnie, co jest w pańskiej! Dlaczego wyrządza pan tyle zła? Po co pan zebrał ten tłum nieszczęśliwych ludzi i więzi ich tutaj? Mnie to jest obojętne: rozumiem wszystko i jestem spokojny: ale oni? Dlaczego muszą znosić te męki? Człowiekowi, który doszedł do tego, że piastuje w duszy wielką wszechludzką ideę, obojętne jest, gdzie ma żyć, co odczuwać. A nawet czy żyć, czy nie żyć... Czy nie mam racji?

- Możliwe - rzekł lekarz siadając na krześle w kącie pokoju, aby dobrze widzieć chorego, który szybko przemierzał pokój tam i z powrotem, człapiąc wielkimi pantoflami z końskiej skóry i powiewając połami bawełnianego szlafroka w szerokie czerwone pasy i duże kwiaty. Towarzyszący lekarzowi felczer i dozorca stali przy drzwiach wyciągnięci na baczność.

- A ja ją mam! - wykrzyknął chory. - A kiedy ją odkryłem poczułem się jak odrodzony. Zmysły moje wyostrzyły się, mózg pracuje jak nigdy. To, co dawniej osiągałem dzięki długim rozumowaniom i domysłom, poznaję teraz intuicyjnie. Osiągnąłem konkretnie to, co zaliczamy dziś do zdobyczy filozofii. Własnym jestestwem doświadczam wielkiej idei, głoszącej, że przestrzeń i czas to są fikcje. Żyję we wszystkich wiekach. Żyję poza przestrzenią, wszędzie lub nigdzie, jak pan woli. I dlatego obojętne mi jest, czy mnie pan tu więzi, czy puści na

wolność, czy jestem swobodny, czy skrupowany. Dostrzegłem tu jeszcze kilku podobnych ludzi. Lecz dla pozostałych ta sytuacja jest okropna. Dlaczego ich pan nie zwolni? Komu to potrzebne..

- Powiedział pan - przerwał mu lekarz - że pan żyje poza czasem i przestrzenią. Jednakże trudno zaprzeczyć, że znajdujemy się razem w tym oto pokoju i że w tej chwili - lekarz wyciągnął zegarek - jest pół do jedenastej, dnia 6 maja 18... roku. Co pan o tym sądzi?

- Nic nie sądzę. Dla mnie to zupełnie obojętne, gdzie się znajduję i w jakim okresie żyję. A jeśli to dla mnie obojętne, czy nie znaczy to, że jestem wszędzie i zawsze?

Lekarz uśmiechnął się.

- Wyjątkowo logiczne rozumowanie - rzekł wstając. - Chyba ma pan rację. Do widzenia. Czy zapali pan cygaro?

- Dziękuję. - Zatrzymał się, wziął cygaro i nerwowo odgryzł koniuszek. - To pomaga myśleć — rzekł. - To wszechświat, mikrokosmos. Na jednym końcu kwasy, na drugim - zasady... Na tym polega także równowaga wszechświata, w którym neutralizują się sprzeczne elementy. Do widzenia, doktorze!

Lekarz ruszył dalej. Większa część chorych czekała na niego przy swoich łózkach, stojąc na baczność. Żaden naczelnik nie cieszy się takim szacunkiem u swoich podwładnych jak lekarz psychiatra u swych obłąkanych.

Chory zaś, pozostawszy sam, nie przestawał gwałtownie chodzić po pokoju z kąta w kąt. Przyniesiono mu herbatę: nie siadając, dwoma haustami opróżnił spory kubek i niemal w okamgnieniu zjadł dużą pajdę białego chleba. Potem wyszedł z pokoju i przez kilka godzin, nie zatrzymując się, chodził tym samym szybkim i ciężkim krokiem z jednego końca budynku na drugi. Dzień był dżdżysty i chorych nie wypuszczano do ogrodu. Kiedy felczer zaczął szukać nowego chorego, wskazano mu na koniec korytarza: stał tam przywarłszy twarzą do szyby oszklonych drzwi ogrodowych i bacznie obserwował klomb. Jego uwagę przyciągnął niezwykle jaskrawy jasnoczerwony kwiat, jedna z odmian maku.

- Proszę iść się zważyć - rzekł felczer dotykając ręką jego ramienia,

Ale gdy chory odwrócił do niego twarz, omal nie cofnął się przerażony: tak okropna zawziętość i nienawiść płonęły w jego oszalałych oczach. Ujrawszy jednak felczera, natychmiast zmienił wyraz twarzy i posłusznie udał się za nim, nie mówiąc ani słowa, jak gdyby pograżony w głębokiej zadumie. Weszli do gabinetu lekarskiego: chory sam wszedł na pomost niewielkiej wagi dziesiętnej: felczer zważył go i zanotował w księdze obok jego nazwiska 109 funtów. Następnego dnia było 107, trzeciego - 106.

- Jeśli tak pójdzie dalej, chory długo nie pożyje - rzekł lekarz i kazał go odżywiać jak najlepiej.

Mimo to jednak i mimo niezwykłego apetytu, chory szczupłał z każdym dniem i felczer codziennie zapisywał w księdze coraz mniejszą ilość funtów. Chory prawie wcale nie spał i całe dni spędzał w nieustannym ruchu.

IV

Rozumiał, że jest w szpitalu dla umysłowo chorych: rozumiał nawet, że jest chory. Niekiedy, jak pierwszej nocy, budził się śród ciszy po całym dniu gwałtownego nieustającego ruchu z uczuciem łamania we wszystkich członkach i strasznego ucisku w głowie, ale w pełni świadomości. Może brak wrażeń w półmroku i nocnej ciszy, może słaba praca mózgu zaraz po przebudzeniu sprawiały, że w takich chwilach dobrze rozumiał swoją sytuację i był jak gdyby zupełnie zdrow. Ale nadchodził dzień: wraz ze światłem i budzeniem się życia w szpitalu chorego ogarniała nowa fala wrażeń, jego mózg nie mógł sobie z nimi poradzić - i

obląkanie wracało. Stan chorego był dziwną mieszaniną słusznych sądów i nedorzeczności. Rozumiał, że wszyscy dokoła są chorzy, ale zarazem w każdym z nich rozeznawał jakąś potajemnie ukrywającą się czy ukrywaną osobę, którą znał dawniej albo o której czytał lub słyszał. Szpital zamieszkiwali jak gdyby ludzie wszystkich epok i krajów. Byli tu i żywi, i umarli. Byli sławni i potężni ludzie tego świata, byli żołnierze zabici w czasie ostatniej wojny - i zmartwychwstali. Widział się w jakimś zaklętym czarodziejskim kole, które wchłonęło największe moce ziemi, i w pełnym pychy opętaniu uważał siebie za ośrodek tego koła. Wszyscy jego towarzysze szpitalni zebrali się tu, aby dokonać czynu, który wyobrażał sobie mgliście jako gigantyczne przedsięwzięcie zmierzające do zniszczenia zła na ziemi. Nie wiedział, jak ten czyn ma wyglądać, ale czuł w sobie dosyć siły, aby go dokonać. Potrafił odgadywać myśli innych ludzi: dostrzegał w przedmiotach ich dzieje: wielkie wiązy w ogrodzie szpitalnym opowiadały mu legendy o swojej przeszłości: budynek, wzniesiony istotnie dosyć dawno, uważał za dzieło Piotra Wielkiego i pewien był, że car mieszkał w nim w okresie bitwy pod Połtawą. Wyczytał to na ścianach, na oblupanym tynku, na kawałkach kafli i cegieł, które znajdował w ogrodzie: dzieje tego domu i ogrodu były na nich spisane. Chory zaludnił niewielki budynek kostnicy dziesiątkami, później setkami dawno zmarłych ludzi i uważnie wpatrywał się w jej piwniczne okienko wychodzące na jakiś zakątek ogrodu, dostrzegając w nierównym odbiciu światła padającego na starą, brudną, mieniającą się tęczowo szybę znajome rysy, widziane kiedyś w życiu lub na portretach.

Nastały tymczasem piękne, jasne dni i chorzy spędzali cały czas w ogrodzie na powietrzu. W przeznaczony dla nich części ogrodu, niewielkiej, lecz gęsto zarośniętej drzewami, wszędzie, gdzie tylko było można, zasadzono kwiaty. Nadzorca zmuszał do pracy w ogrodzie wszystkich zdolnych do roboty, toteż chorzy po całych dniach zmiatali ścieżki i posypywali je piaskiem, pełli i polewali przekopane przez siebie grządki, gdzie rosły kwiaty, ogórki, arbuzy i melony. Narożny zakątek ogrodu zarósł gęsto krzewami wiśniny: wzdłuż ogrodu ciągnęły się aleje wiązów: pośrodku, na niewielkim, sztucznie usypanym pagórku, jaśniał najpiękniejszy w całym ogrodzie klomb: jaskrawe kwiaty okalały szczyt pagórka, w samym zaś środku rosła strzelista dalia, żółta w czerwone cętki, piękny i rzadki okaz. Stanowiła ośrodek całego ogrodu, znacznie nad nim górując, i łatwo było dostrzec, że chorzy przypisywali jej jakieś tajemnicze znaczenie. Nowemu choremu wydawała się również czymś niecodziennym, jakimś talizmanem ogrodu i budynku. Chorzy poobsadzali też wszystkie ścieżki. Rosły tu najrozmaitsze kwiaty spotykane w ukraińskich ogródkach: róże sztamowe, barwne petunie, krzaki tytoniu o niewielkich różowych kwiatach, aksamitki, mięta, nasturcja i maki. Niedaleko ganku rosły trzy krzaki maku jakiejś rzadkiej odmiany: były znacznie mniejsze od zwykłych i odznaczały się szczególnie jaskrawą jasnoczerwoną barwą. Były to właśnie owe kwiaty, które tak wstrząsające wrażenie wywarły na chorym, kiedy po przybyciu do szpitala wyglądał przez oszklone drzwi na ogród.

Gdy wypuszczono go do ogrodu po raz pierwszy, zanim jeszcze zszedł z ganku, spojrzął na te jaskrawe kwiaty. Było ich zaledwie dwa: przypadkiem rosły na uboczu, na nie oczyszczonym od chwastów miejscu, otoczone gęsto rozrośniętą lebindą i burzanem.

Chorzy po kolei przechodzili przez drzwi, przy których stał dozorca i wręczał każdemu z nich gruby biały bawełniany kołpak z naszytym czerwonym krzyżem. Czapki te pozostały po ostatniej wojnie i nabyto je na licytacji. Ale dla chorego czerwony krzyż miał, rzecz jasna, jakieś szczególne, tajemnicze znaczenie. Zdjął z głowy kołpak, spojrzął na krzyż, potem na kwiaty maku. Kwiaty były jaskrawsze.

- On zwycięża - rzekł chory - ale jeszcze zobaczymy.

Zszedł z ganku. Obejrząwszy się dokoła i nie widząc stojącego z tyłu dozorca, przestąpił grządkę i wyciągnął rękę w kierunku kwiatu, ale nie miał odwagi go zerwać. Poczł nagle gorączkę i klucie w wyciągniętej ręce, a potem i w całym ciele, jak gdyby potężny prąd o nieznanym mocy, zaklęty w czerwonych płatkach, przenikał jego ciało. Podeszedł bliżej i

przysunął rękę do samego kwiatu, ale ten, widać, próbował się bronić wydając jadowite, śmiertelne tchnienie. Zakręciło mu się w głowie: ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem chwycił za łodygę, gdy nagle ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu. Był to dozorca.

— Nie wolno rwać - rzekł stary Ukrainiec. - I na grządki nie wchodzić. Mało tu was, wariatów: każdy zerwie kwiatek, cały ogród zniszczycie - powiedział z przekonaniem, trzymając go wciąż za ramię.

Chory spojrzał mu w twarz, w milczeniu uwolnił się od jego ręki i rozdrażniony odszedł w głąb ogrodu. „O, nieszczęśni! - myślał. - Nic nie widzicie, jesteście tak zaślepieni, że go bronicie. Ale ja się z nim rozprawię za wszelką cenę. Nie dziś, to jutro zmierzmy się ze sobą, wtedy zobaczycie, kto silniejszy. A jeśli zginę, czy to nie wszystko jedno...”

Spacerował po ogrodzie aż do późnego wieczora, zawierając nowe znajomości i prowadząc dziwaczne rozmowy, w których każdy z rozmówców słyszał tylko odpowiedzi na własne szaleńcze myśli, wyrażone nedorzecznymi i tajemniczymi słowami. Chory spacerował to z tym, to z innym towarzyszem szpitalnym i w końcu dnia upewnił się jeszcze bardziej, że „wszystko jest przygotowane”, jak powiedział sam do siebie. Wkrótce już opadną żelazne kraty, uwięzieni tu ludzie wyjdą na wolność i rozbiegną się po wszystkich krańcach ziemi, a świat zadrży w posadach, zrzuci z siebie starą, zmurszałą powłokę i ukaże swe nowe, cudownie piękne oblicze. Zapomniał już niemal o kwiatku, lecz gdy wychodząc z ogrodu wstępował na ganek, znowu ujrzał w gęstej, pociemniałej i zroszonej już trawie jakby dwa żarzące się węgielki. Wówczas cofnął się przepuszczając naprzód innych chorych i stanąwszy za dozorcą czekał na odpowiedni moment. Nikt nie widział, jak przeskoczył grządkę, pochwycił kwiat i ukrył go pospiesznie na piersiach pod koszulą. Kiedy świeże, wilgotne od rosy liście dotknęły jego ciała, zbladł śmiertelnie i szeroko otworzył przerażone oczy. Zimny pot wystąpił mu na czole.

W szpitalu zapalono lampy: czekając na wieczerzę chorzy pokładli się na łózkach, prócz kilku niespokojnych, którzy szybkim krokiem przechadzali się po salach i korytarzu. Był wśród nich również chory z kwiatem. Chodził ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, przyciskając je kurczowo do ciała, jak gdyby chciał zgnieść i zmiążdżyć ukrytą roślinę. Spotykając innych obchodził ich z daleka w obawie, że ich dotknie brzegiem szlafroka. „Nie zbliżajcie się, nie zbliżajcie się!” - krzyczał. W szpitalu jednak mało kto zwracał uwagę na podobne okrzyki. A chory chodził coraz szybciej i szybciej, stawiając coraz większe kroki, chodził godzinę, dwie, z jakąś hamowaną pasją.

- Zmęczę cię! Zaduszę! - mówił głucho, z nienawiścią.

Niekiedy zgrzytał zębami.

Do jadalni podano wieczerzę. Na długich stołach bez obrusów postawiono po kilka drewnianych mis, malowanych i złożonych, z rzadziutką kaszą jaglaną: chorzy usiedli na ławkach i każdy z nich otrzymał po pajdzie razowego chleba. Jedli drewnianymi łyżkami, po ośmiu z jednej misy. Kilku, którym przysługiwało prawo do lepszego odżywiania, podano osobno. Nasz chory, szybko przełknąwszy porcję, przyniesioną mu przez posługacza do jego pokoju, nie zadowolił się tym i poszedł do ogólnej jadalni.

- Czy mogę tu usiąść? — zagadnął nadzorcę.

- Czy pan nie jadł kolacji? - spytał nadzorca rozlewając do mis dodatkowe porcje kaszy.

- Jestem bardzo głodny. I muszę się posilić. Podtrzymuje mnie tylko jedzenie: pan przecież wie, że wcale nie sypiam.

- Proszę bardzo, mój drogi, niech pan je na zdrowie. Tarasie, daj panu łyżkę i chleba.

Chory przysiadł się do jednej z mis i znów zjadł ogromną ilość kaszy.

- No dosyć, dosyć - rzekł wreszcie nadzorca, kiedy wszyscy już skończyli wieczerzę, a nasz chory wciąż jeszcze siedział nad miską, jedną ręką nabierając sobie kaszy, a drugą mocno przyciskając do piersi. - Pan się przeje.

- Ach, gdyby pan wiedział, jak wiele mi potrzeba siły! Gdyby pan wiedział! Do

widzenia, Mikołaju Mikołajewiczu - rzekł chory wstając od stołu i mocno ściskając rękę nadzorcy. - Żegnam pana.

- Dokąd to pan? - zapytał z uśmiechem nadzorca.

- Ja? Nigdzie. Zostaję tu. Ale może jutro już się nie zobaczymy. Dziękuję panu za pańską dobroć.

I jeszcze raz mocno uściskał rękę nadzorcy. Głos mu drżał, w oczach miał łzy.

- Niech się pan uspokoi, kochany panie - rzekł nadzorca. - Po co te posępne myśli? Może się pan lepiej położy i postara zasnąć. Trzeba więcej spać: spokojny sen to dla pana warunek szybkiej poprawy.

Chory łkał. Nadzorca zwrócił się do posługaczy, aby szybciej sprząтали resztki kolacji. Po upływie pół godziny w szpitalu wszyscy już spali, prócz jednego człowieka leżącego w ubraniu na swoim łóżku w narożnym pokoju. Drżał niczym w febrze i kureczowo przyciskał rękę do piersi przepojonej, jak mu się wydawało, śmiertelną trucizną.

V

Nie spał całą noc. Zerwał kwiat, gdyż uważał to za czyn bohaterski, którego dokonanie było obowiązkiem. Już przy pierwszym spojrzeniu, rzuconym na ogród przez oszklone drzwi, zwrócił uwagę na czerwone płatki i wydało mu się, że od tej chwili jasno uświadomił sobie, co ma do spełnienia w życiu. W tym jaskrawo czerwonym kwiecie skupiło się zło świata. Wiedział, że z maku wyrabiają opium; być może myśl ta, rozrastając się i przybierając koszmarnie kształty, wpłynęła na powstanie straszliwego fantastycznego widziadła. Kwiat stał się w jego oczach wcieleniem zła, wchłonał w siebie całą niewinnie przelaną krew (dlatego też był tak jaskrawo czerwony), wszystkie łzy, wszystką gorycz ludzkości. Była to straszliwa i tajemnicza istota, przeciwieństwo Boga - Aryman, który przybrał skromną i niewinną postać. Należało go zerwać i zabić. Ale nie dość tego - nie wolno było dopuścić, aby wydając ostatecznie tchnienie przelał całe swe zło na świat. Dlatego chory ukrył go u siebie na piersiach. Miał nadzieję, iż do rana kwiat utraci swą zjadliwą moc. Zło przejdzie do jego piersi, do jego duszy i tam zostanie zwyciężone albo zwyciężmy - wówczas on sam zginie, skona, ale skona jako uczciwy bojownik, jako pierwszy bojownik ludzkości, gdyż nikt dotąd nie miał odwagi walczyć naraz z całym złem tego świata.

- Nie dostrzegli go. Ale ja je dojrzałem. Czyż mogę je pozostawić przy życiu? Lepsza śmierć.

Leżał tak, tracąc resztki sił w urojonej, nieistniejącej walce.

Gdy z rana przyszedł felczer, chory ledwo żył. Mimo to wkrótce podniecenie znów wzięło górę: zerwał się z łóżka i jak dawniej zaczął biegać po budynku szpitalnym rozmawiając z chorymi i samym sobą, głośniejszy i bardziej bezładnie niż kiedykolwiek. Nie wypuszczono go do ogrodu: lekarz widząc, że waży coraz mniej i że w dalszym ciągu nie sypia, tylko wciąż chodzi i chodzi, kazał mu zastrzyknąć podskórnie dużą dawkę morfiny. Chory nie sprzeciwiał się: na szczęście, jego obłąkańcze myśli pozostawały w tej chwili w jakiejś zgodzie z tym zabiegiem. Wkrótce zasnął: szaleńczy ruch ustał, a towarzysząca mu hałaśliwa melodia, wystukiwana gwałtownym rytmem jego porywczych kroków, nie raniła już uszu. Zasnął i zapomniał o wszystkim, nawet o drugim kwiatku, który trzeba było zerwać.

Zerwał go jednakże po trzech dniach na oczach starego Ukraińca, który nie zdążył mu w tym przeszkodzić. Dozorca puścił się za nim w pogoń. Chory wbiegł do budynku z głośnym, triumfującym okrzykiem, rzucił się do swego pokoju i ukrył roślinę na piersiach.

- Dlaczego zrywasz kwiaty - spytał dozorca, który wpadł tu tuż za nim. Ale chory leżał na łóżku we właściwej sobie pozycji, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, i plótł takie

banialuki, że dozorca bez słowa zdjął z niego zapomniany w pośpiesznej ucieczce kołpak z czerwonym krzyżem i wyszedł. I znów wszczęła się urojona walka. Chory czuł, jak z kwiatu długimi, podobnymi do węży, wijącymi się strumieniami promieniuje zło: macki oplątywały go, ścisnęły i gniotły jego członki, przesycały ciało swą jadowitą treścią. W przerwach między przekleństwami miotanymi na wroga płakał i modlił się. Do wieczora kwiat zwiędł. Chory zdeptał szerniącą roślinkę, zebrał szczątki z podłogi i zaniósł je do łazienki. Rzuciwszy bezkształtną grudkę zieleni do płonącego pieca, długo patrzył, jak jego wróg syczał i kurczył się, aż wreszcie zamienił się w lekką, śnieżnobiałą grudkę popiołu. Dmuchał - i nic nie pozostało.

Nazajutrz chory czuł się znacznie gorzej. Straszliwie blady, o wychudłych policzkach i głęboko zapadłych palających oczach, chwiejąc się i potykając, odbywał nadal swą obłąkańczą wędrówkę i mówił, mówił bez przerwy.

- Nie chciałbym stosować przemocy - rzekł starszy lekarz do swego zastępcy.

- Ale jednak trzeba koniecznie przerwać ten wysiłek. Dziś waży tylko 93 funty. Jeżeli tak dalej pójdzie, chory za dwa dni umrze.

Lekarz zamyślił się.

- Morfina? Chloral? - rzekł na wpół pytająco.

- Wczoraj morfina już nie działała.

- Niech go pan każe związać. Wątpię zresztą, czy uda się go uratować.

VI

Chorego związano. Leżał na swoim posłaniu w kaftanie bezpieczeństwa, przywiązany mocno szerokimi płóciennymi pasami do żelaznych prętów łóżka. Ale jego obłąkańcza ruchliwość nie ustała, raczej wzrosła. W ciągu wielu godzin uparcie próbował wyzwolić się ze swoich pęt. Raz wreszcie, szarpnąwszy mocno, zerwał jedną z opasek, uwolnił nogi i wysliznąwszy się z pozostałych pasów zaczął ze związanymi rękami chodzić po pokoju wykrzykując jakieś dzikie, niezrozumiałe słowa.

- O, szczoł tobi... - zawołał posługacz, który wszedł do pokoju. — Jakij tobi bis pomahaje! Hryčko! Iwan! Idyte szwydcze, bo win rozwiawś.

We trójkę rzucili się na chorego i rozpoczęła się długa walka, ciężka dla napastników i pełna udręki dla broniącego się człowieka, który tracił resztki swych skąpych sił. Wreszcie obalono go na posłanie i skrupowano jeszcze mocniej niż poprzednio.

- Sami nie wiecie, co robicie! - krzyczał chory, z trudem chwytając powietrze. - Grozi wam zguba! Widziałem, jak rozkwitał trzeci. Teraz już się rozwinął. Pozwólcie mi skończyć rozpoczęte dzieło. Trzeba go zabić! zabić! zabić! Wtedy wszystko uratowane. Posłałbym was tam, ale tylko ja mogę to uczynić. Zginęlibyście od pierwszego dotknięcia.

- Mołczyte, panycz, mołczyte! - rzekł stary posługacz, który pełnił dyżur przy chorym.

Naraz chory umilkł. Postanowił oszukać dozorców. Przetrzymano go związanego przez cały dzień i zostawiono tak na noc. Posługacz dał mu kolację, po czym posłał sobie obok łóżka chorego i położył się. Po chwili spał twardym snem, chory zaś przystąpił do dzieła.

Wygiął mocno ciało, aby dotknąć żelaznej poprzeczki łóżka, i namacawszy ją dłonią ukrytą w rękawie kaftana bezpieczeństwa zaczął szybko i mocno pocierać rękaw o żelazo. Po pewnym czasie grube płótno pękło i wskazujący palec był wolny. Wówczas sprawa poszła dużo szybciej. Z niewiarygodną dla zdrowego człowieka zręcznością i zwinnością rozwiązał sobie na plecach węzeł ściągający rękawy, rozsznurował kaftan, po czym przez czas dłuższy przysłuchiwał się chrapaniu posługacza. Ale staruszek spał mocno. Chory zdjął kaftan i odwiązał siebie od łóżka. Był wolny. Spróbował otworzyć drzwi: zamknięte były od wewnątrz,

a klucz pewnie miał posługacz w kieszeni. W obawie, że go obudzi, zrezygnował z przeszukiwania jego kieszeni i postanowił wydostać się z pokoju przez okno.

Była cicha, ciepła i ciemna noc, okno było otwarte: na ciemnym niebie świeciły gwiazdy. Patrzył na nie rozróżniając znane konstelacje: cieszył się, że gwiazdy, jak mu się zdawało, rozumieją go i są mu przychylnie. Mrużąc oczy, widział nieskończoną ilość promieni, które mu wysyłały, i umacniał się w swej obłąkańczej decyzji. Trzeba było odgiąć gruby pręt żelaznej kraty, dostać się przez wąskie przejście do zarosłego krzakami zakątka i przebyć wysoki mur. Tam czekała go ostateczna walka, a potem - choćby śmierć.

Próbował zgiąć gruby pręt rękami, ale żelazo się nie poddawało. Wówczas skręcił z rękawów kaftana bezpieczeństwa mocny sznur, zaczął go o wykutą na końcu pręta lancę i zawisł na niej całym ciężarem ciała. Po rozpaczliwych wysiłkach, które niemal całkowicie go wyczerpały, lanca zgięła się: wąskie przejście było utorowane. Przepchnął się przez nie, startszy sobie mocno skórę na plecach, łokciach i obnażonych kolanach, przedarł się przez krzaki i stanął pod murem. Dokoła panowała cisza, blade światła nocnych lampek oświetlały od wewnątrz okna wielkiego budynku, nikogo nie było widać. Nikt go nie zauważył, starszek dyżurujący przy jego łóżku śpi pewnie twardym snem. Gwiazdy migotały przyjaźnie, a ich promienie przenikały do głębi jego serca.

-Idę do was - szepnął spoglądając na niebo.

Po pierwszej próbie spadł zdarłszy sobie paznokcie, zraniwszy do krwi rękę i kolana. Zaczął szukać wygodnego miejsca. Tam, gdzie mur przylegał do ściany kostnicy, wypadło z niego i ze ściany kilka cegieł. Chory wymacał ręką te wgłębienia i skorzystał z nich. Wlazł na mur, uchwycił się gałęzi wiązu rosnącego po tamtej stronie i trzymając się pnia zsunął powoli na ziemię.

Natychmiast rzucił się naprzód do znajomego miejsca obok ganku. Ciemna główka kwiatu ze zwiniętymi płatkami widoczna była wyraźnie na tle wilgotnej trawy.

- Ostatni! - szepnął chory. - Ostatni! Dziś - zwycięstwo lub śmierć. Ale dla mnie to już wszystko jedno. Czekać! - zawołał patrząc w niebo. - Wkrótce połączę się z wami.

Wydarł roślinę, poszarpał ją, zgniótł i, trzymając wciąż w ręku, powrócił tą samą drogą do pokoju. Posługacz spał. Ledwo zbliżywszy się do łóżka, chory runął na posłanie bez zmysłów.

Rano znaleziono go martwego. Twarz miał spokojną i jasną: jej wychudłe rysy, cienkie wargi i głęboko zapadłe zamknięte oczy miały jakieś piętno szczęścia i dumy. Kiedy go ułożono na noszach, próbowano rozewrzeć rękę i wyjąć z niej czerwony kwiat. Ale ręka już zmartwiała i chory zabrał swą zdobycz do mogiły.